

ALFRED ARDEN.

Zemsta bogini Kali.

Prawo przedruku i przekładu zastrzeżone.

16

To co potem nastąpiło pamiętam jak przez mgłę. Cała sala zawirowała mi w oczach... Chaos splecionych myśli... Natłok bezładnych obrazów i wrażeń...

Chrzęst odsuwanych stolików i krzeseł. Jakies krzyki. Czyjeś kroki... Blade, przerażone twarze...

Poderwaliśmy się z miejsc... luz zleciała się służba... Już jakiś angielski oficer doskoczył do bezwładnego ciała. Złożono je na krzesło... Głowa zwisała przez poręcz... Martwe, szkliste oczy... Rozczapierzone palce u bezwładnie opuszczonych rąk... Chcieliśmy biedz na pomoc. Ale stać... wciągnęliśmy w miejscu wbici w ziemię jakąś niepojętą siłą, skołowaciel w nieuchwytnym strachu.

Już wyniesiono ciało do salonu. Już jakiś czarny pan z walizką (pewnie lekarz) przepychał się przez tłum stłoczony u zamkniętych drzwi... Już mignęły policyjne naszywki...

Opadliśmy z powrotem na krzesła... Nikt nie miał odwagi przemówić... Patrzeliśmy tylko na Hindusa, który siedział bardzo blady i pogrążony w ponurem milczeniu.

Trwaliśmy tak prawdopodobnie dość długo... Niepokój wałęsał się po zdenerwowanej sali...

Stanął przed nami jakiś pan. Aha: mundur i złote galony... Policja. Dopiero teraz spostrzegłem, że obstawiono drzwi i że nikogo nie wypuszcza się z sali.

Komisarz skłonił się grzecznie... Uprzejmie zapytał:

— A panowie czy słyszeli huk wystrzału?...

Jakies ciemne płatki zaczęły mi wirować przed oczyma. Starałem się skupić myśli. Czego chce właściwie ten człowiek?...

Van Gelle odpowiedział:

— Jaki wystrzał?... O co panu chodzi? Nikt z nas absolutnie nie słyszał żadnego wystrzału!...

— Dobrze. A czy mógłby mi pan dokładnie powiedzieć, w jakiej pozycji siedział ten pan w chwili śmierci...

— Śmierci!? — zduszonym głosem wykrzyknęła Blanka...

— Tak, śmierci... — ciągnął dalej sucho komisarz policji. — Pan siedział przecież dość blisko od nieboszczyka? — mówił do Van Gelle'a — niech pan spróbuje odtworzyć sobie w myśli jego obraz!...

— Owszem. Pamiętam dokładnie — słyszę głos Van Gelle'a. — Najlepiej sam pokażę panu, jak siedział nieszczęśliwy Anglik.

To mówiąc podszedł do stolika, przy którym rozegrał się przed chwilą tajemniczy dramat, poprawił krzesło i biorąc do ręki gazetę usiadł w tej samej pozycji, jaką zajmował w chwili śmierci zmarły.

— Niech pan przez chwilę łaskawie nie rusza się z miejsca — poprosił urzędnik policji.

A potem zwrócił się do kilku z gości, którzy potwierdzili trafność obserwacji Holendra. I my również przyłączyliśmy się do ogólnego zdania.

— Więc pan jest pewny, — spytał jeszcze raz urzędnik — że zamordowany siedział zwrócony plecami w kierunku ulicy?

— Co do tego niema żadnej wątpliwości — odezwało się od razu kilka głosów. Profesor skinął na znak potwierdzenia głową.

Komisarz zmierzyl krokami odległość dzielącą ów nieszczęsny stolik od parapetu werandy i zaklął coś znacząco pod nosem. Doliczył się nie więcej jak dwa do trzech metrów. Zwrócił się do uczonego i rzekł:

— Już wiem wszystko i dziękuję panu.

Van Gelle wstał i rzucił się niecierpliwie ku niemu.

— Co pan wie?... Teraz my prosimy uprzejmie o wyjaśnienia. Nie rozumiemy co się tutaj stało.

— Oh! to przykra sprawa, — objaśnił komisarz — zamach polityczny. Tak należy sądzić. Zamordowany był urzędnikiem angielskim. Wysokim urzędnikiem w Benares. Od roku zresztą w urlopie, który mu przyznano z powodu choroby. Ze względu na swe stanowisko mógł się narazić fanatykom z pośród tutejszej ludności... Dziś padł ofiarą jakiejś niezrozumiałej „vendetty”. Otrzymał strzał w plecy... co dowodzi, że strzelono z ulicy. Odgłos detonacji musiał zginąć wśród wielkomięjskiego zgiełku, dlatego go tu nie słyszano... Tak! będzie trudność z odszukaniem mordercy... Napewno ukrył się wśród ulicznego tłumu i jest już, jak wolno sądzić, daleko... Ale mogę zapewnić wszystkich tu obecnych, że policja Imperjum dołoży wszelkich wysiłków, by odszukać winnego czynu i pomścić nikczemne morderstwo...

Ostatnie zdanie wygłosił bez przekonania niezwykle patetycznym tonem. Potem przyłożył rękę do czapki, skinął na swoich agentów i opuścił na ich czele salę. Za nim wysypał się rój gości, brzęczący pogwarem przyciszonych rozmów, podniecony i zdenerwowany... Pustoszała sala. A my wciąż siedzieliśmy w milczeniu przynębieni, złamani na duchu, napróżno usiłując sobie wytłumaczyć rolę, jaką odegrał Rama w tym niepokojącym dramacie. Patrzeliśmy w jego oczy, żarzące się gorączkowym płomieniem, w jego twarz zaskrzepłą w chłodnym, kamiennym wyrazie. Nie wyczytaliśmy w niej nic prócz zagadki...

Nagle Rama wstał dając nam sygnał do wyjścia. Machinalnie podnieśliśmy się z miejsc, błądząc ku drzwiom wśród opustoszałych stolików. Schodząc po kamiennych stopniach na ulicę ujrzeliśmy sanitarne auto, które otoczył tłum ludzi. Zauważyłem nagle, że jakiś szmer powiał po nim i wszystkie oczy zwróciły się w naszą stronę. Obejrzałem się idąc za kierunkiem ich wzroku, który biegł ponad naszymi głowami. Wzdrygnąłem się... W bramie hotelu ukazał się żałobny orszak: czterech ludzi dźwigających nosze okryte białym całunem. Ach! więc to ostatnie spotkanie z tym błędnym, nieznanym Anglikiem, którego los tak dziwnie wpłatał w nasze życie!...

Usunęliśmy się w bok, by zejść tragarzom z drogi i w milczeniu odkryliśmy głowy. Orszak, schodząc z stopnia znalazł się tuż obok nas. Dzieliła go odległość kilku kroków... Rzuciłem okiem na nosze. Z pod białego płótna sterczały sztywno nogi trupa, chwytając się rytmicznie w takt kroków tragarzy... Znów uderzyły mnie w oczy żółte, nowiusieńkie buty

i jedwabne prążkowane skarpetki... Uczułem nagle ból we wszystkich kończynach nerwów. Czyż zawsze będą mnie prześladować te nogi?... I nagle, nagle poczułem nieodpartą potrzebę ujrzenia twarzy tego tajemniczego człowieka, którego nie miałem już nigdy więcej zobaczyć, a który miał wejść w moje życie jako straszne i niesamowite wspomnienie. Wydało mi się, że w przeciwnym razie wiecznie dręczyć mnie będzie wizja tych dziwnych bezosobistych nóg w żółtych butach, tych nóg wyciągniętych leniwie tam na posadzce werandy, a teraz martwo objających się o drzewo noszy. Tak! musiałem wreszcie spojrzeć w jego twarz! Pchnięty nieprzeartą siłą rzuciłem się do noszy zrywając z głowy zabitego całun. I w tej samej chwili odpadłem w tył z dzikim krzykiem... Znałem już tę twarz!... Pamiętam dobrze... Tam w kawiarni w Delhi... Mignęła mi przed oczyma i przepadła w tłumie... Pamiętam... Japoński parawan i ochrypły głos rzucający z za niego pierwszą nieszczęsną przestrozę... I teraz to drugie spotkanie?... Co znaczy to wszystko?... Czułem dziki zamęt w mózgu. Wsparty na ramieniu Antonja zaniósłem się nerwowym płaczem...

— Co się panu stało, do diabła? — rzucił opryskliwą uwagę jeden ze służących, zawlekając na twarz trupa płótno.

— Pewnikiem jakiś krewny nieboszczyka — wzdychała ze współczuciem w tłumie jakaś baba.

Półświatłomie pamiętam, że wepchnięto mnie w przejeżdżający taksiometr i odwieziono do domu. Tu dopiero zwolna przyszedłem do siebie. Jak zwykle po gwałtownym wzruszeniu przyszedł na mnie moment zupełnej depresji, ogólnego znieczulenia nerwów. Ogarnęło mnie szalone znużenie. Leżałem na kanapie z oczyma opartymi o sufit pogrążony w tępej obojętności na wszystko. Było już późno, gdy Van Gelle zapukał do mego pokoju. Wszedł pomimo braku odpowiedzi. Gdy usiadł przy mnie spostrzegłem, że jest niezwykle wzruszony.

— Wiesz, co nam powiedział Rama przy rozstaniu? Że komisarz jest w zupełnym błędzie przypuszczając, że ów Anglik jest ofiarą politycznego morderstwa i że zabójczy strzał padł z ulicy...

— Jaki?... — poderwałem się, tknięty jakimś złowieszczym przecuciem.

— Przrzekł nam jutro wytłumaczyć obszernie swe słowa. Pozatem nie powiedział nic więcej.

Wtedy ja nachyliłem się do ucha Van Gelle'a, szepcząc mu o swym strasznym odkryciu.

Nie pamiętam dobrze, co mi odpowiedział profesor, gdyż wyczerpany zapadłem w ciężki, gorączkowy sen przepełniony potwornymi wizjami.

22 lutego.

Dziwne, ale zdaje mi się, że odzyskałem równowagę ducha, choć to co dzisiaj usłyszeliśmy od Ramy brzmiało jak wyrok śmierci ostateczny i nieodwołalny wydany przez nieubłagany trybunał... Mój pozorny spokój jest zatem spokojem skazańca, który wie, że napróżno szamotać się z losem, i który wszystko już ma poza sobą i niczego się nie może spodziewać. Mój stan psychiczny tłómaczę sobie wprost faktem, że już przeżyłem cały niepokój o los swego życia jeszcze przed wyrokiem, a teraz jestem rad, że wreszcie przewalił się ten okres strasznych wyczekiwań, nieuchwytnych lęków i brzemiennych niepewnością godzin.

Tak przynajmniej wmawiam w siebie dzisiaj, a co będzie jutro nie wiem i nie potrafię przewidzieć, czy nie wybuchnie we mnie kiedyś strasznym krzykiem głos samozachowawczego instynktu...

Ale dość o tem! Autoanaliza uczuć wobec nieuchronnej śmierci jest zawsze kabotyńskim gestem. Nie pozostaje przeto nic innego, jak chronologicznie streścić, co zaszło dnia dzisiejszego.

Znaleźliśmy się pośród ruin jakiejś starodawnej świątyni za miastem. Stało to sę na żądanie Ramy. Pozorem była oczywiście wycieczka. Szliśmy z ciężkim sercem, nabrzmialem oczekiwaniem. Jakiś ciemny opar otulał nam dusze. Wiedzieliśmy, że stać się musi coś nieoczekiwanego. Nie potrzebuję dodawać, że naszą głuchą i tajemną rozpacz zwiększała świadomość, że oto za dwa dni odchodzi do Europy nasz okręt, w którym jeszcze niedawno widzieliśmy nasze ocalenie. Jakiegoż strasznego okrucieństwa jest dowodem, że właśnie tę chwilę obrał Rama, by wymierzyć zabójczy cios naszym ostatnim nadziejom.

W pewnej chwili zatrzymaliśmy się pośrodku ruin, by oczy nasycić widokiem, jaki rozciągał się stąd na wspaniałą deltę Gangesu, lśniąca w słońcu odbłyskami rozpalonej miedzi. Nagle zabrał głos milczący dotąd Rama. Mówił jakoś dziwnie bezbarwnie, monotennie, cicho, ale w tej jednostajności jego głosu czaiła się właśnie nieuchwytna groza. Każde jego słowo spadało nam na piersi ciężarem.

— Oto ruiny — mówił — pradawnej świątyni bogini Kali-Durga, bogini miłości, poznania i śmierci. Umyslnie wybrałem to miejsce, by wam oznajmić me ostatnie słowa...

— O kulcie związanym z imieniem bogini Kali, krąży, jak wiecie, mnóstwo legend wśród Europejczyków. O Tugach-Dusicielach i ich tajemnych obrzędach jest głośno w waszej literaturze. W Wielkiej Encyklopedji Brytyjskiej znajdziecie o tym związku długi i uczony artykuł. Ale mogę was zapewnić, że w tym artykule zaledwie kilka szczegółów zasługuje na jaką taką uwagę.

— To co przeżyliście w podziemnej hali w Benares rzuciło wam nowe światło na istotę kultu tej bogini, choć pozostało w was tylko jako nieuchwytny i niewystłowiony wspomnienie. W myśl waszych pragnień odsłoniłem przed wami rąbek tajemnicy, dostępnej rzadko tylko dla Europejczyków, których duchowość nie jest urobiona jeszcze do przyjęcia prawdy o wszechświecie. Ale nic za darmo!... Za dopuszczenie do tajemnic Tugów musicie zapłacić cenę, którą to kosztuje. Sądję, że to zrobicie sami z siebie, bez oporu, tak jak to czyni każdy prawowierny Hindus...

— Kali jest boginią miłości, poznania i śmierci... Dlatego, że szczyt, jaki człowiek osiąga w miłości i w poznaniu prowadzi nieuchronnie do śmierci. Kto bowiem zgłębił do samego dna istotę miłości, łączącą się w najwyższych formach z istotą poznania, ten jej już nie pragnie w życiu, a tem samem i życia nie pragnie. A kto nie pragnie życia — winien umrzeć, bo dojrzał już do wyższego wcielenia.

(Ciąg dalszy nastąpi).